



kraj

LUDZIE

Skrzypków ulicznych są w Polsce setki. Ale tylko jeden ma kasę fiskalną. I nabija na nią wszystko, co zarobi. Nazywa się Władysław Tomczyk. Gra w Katowicach

Żywot człowieka uczciwego

TOMASZ JODŁOWSKI

MACIEJ MIŁOSZ

Zazwyczaj stoi pod mostem na ulicy św. Jana, w pobliżu kina Rialto. Gra lekko pochylony. Przed nim metalowy stojak na nuty, pomarańczowa puszką na pieniądze i... kasa fiskalna. Nieduża, przenośna, marki Elzab. Gdy tylko ktoś wrzuci pieniądź, przerywa, kuca i nabija kwotę. Kasa drukuje paragon jak w sklepie spożywczym. Od góry nazwa firmy: Tomczyk Władysław, adres: Siewierz, Dziewki 4, i forma działalności: sprzedaż terenowa. Niżej NIP, data i kwota: zazwyczaj od dwóch do pięciu złotych. Zapłacono gotówką.

Gdy rozmawiamy, mówi powoli. Z namysłem. Głosem spokojnym i niezbyt donośnym.

– Taki szum medialny wokół mojej osoby jest dziwny. Bo są ludzie, którzy naprawdę na coś takiego zasługują. Ja nie – opowiada skromnie. Mimo to ślaski skrzypek był bohaterem kilku artykułów w prasie regionalnej, udzielał wywiadów radiowych i robiono o nim reportaże telewizyjne. Wszystko przez tę kasę. – Nie zaprzeczam, to pomaga w biznesie. Przez to więcej osób wrzuca pieniądze do mojej puszkę. Ale nie taki był mój zamiysł – tłumaczy.

Urodził się 62 lata temu. W starym, drewnianym domu, w którym wciąż mieszka, we wspo-

mnianej niewielkiej wsi Dziewki. Wodę czerpie ze studni. Zamiast błyszczącej muszli klozetowej i ka-felków jest zwyczajna dziura w dykcie i wychodek. Ale w środku chaty jest ciepło, opalana wę-glem koza działa znakomicie. Gdy wyjdzie przed dom, widzi w odda-li mknące gierkówką samochody. Do Katowic jest stąd ponad 40 ki-lometrów.

Jest popyt, podaż... No i koniec

Jak dojeżdża? – Skrzypki i kasę biorę na rower. Kasę w nocy ładuję – akumulatory muszą być pełne. Rowerem dojeżdżam do Sie-

wierza. Potem czerwonym auto-busem do Będzina. I przesiadam się do Katowic. Zajmuje to półto-rej, dwie godziny – opowiada Tomczyk. A jeszcze trzeba wrócić. Przypomina to słynny dialog z „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” Stanisława Barei, ale kiedy temperatura spada poniżej zera, muzykowi nie jest do śmiechu. – Gdy jest minus pięć, minus dzie-sięć stopni, nie gram. Wtedy kasa nie działa. Ale tuż poniżej zera jeszcze da radę – wyjaśnia.

Tomczyk jest twardy, przyzwy-czał się do ciężkiego życia. W la-tach 70. i 80. ubiegłego stulecia pra-cował m.in. jako kierownik hotelu robotniczego i kaowiec w przedsię-biorstwie budowlanym Katowice.

W momencie wybuchu stanu wo-jennego był w Anglii. Wrócił od ra-zu. Bo tak należało. A to, że się wte-dy z niego niektórzy śmiali, że mógł zarabiać funty, a wrócił i biduje za złotówkę, to inna sprawa.

Gdy tylko pojawiła się możli-wość, tuż po 1989 r. poszedł na swoje. – Jaka to była radość w 1990 r., gdy się dostawało pierwsze pozwolenia na sprzedaż – wspomina z rozrzewnieniem.

Założył firmę: handel – import. Tak wtedy robiło wielu. W szczy-towym okresie rozwoju, jak to ujmie „czasie prosperity” gdzieś pod koniec lat 90., miał dwa kioski z artykułami przemysłowymi i za-trudniał sześć osób. Wszystkich legalnie, co wtedy w tej wielkości

przedsiębiorstwach było raczej rzadkością. – Byłem biznesme-nem pełną gębą, być może zgubi-ła mnie pycha – zastanawia się. – Ale gdy zaczęły powstawać duże markety, wszystko się zaczęło sta-czać po równi pochyłe. Ludzie już nie kupowali, w sklepach rosła barykada towaru i musiałem za-mknąć. I tak dobrze się skończyło, że nie wpadłem w większe kłopoty finansowe. Pytałem panią w biurze rachunkowym, co robić? A ona na to: „Panie Władku, zwiększać sprzedaż, a zmniejszać koszty”. Jeszcze liczyłem, że może się uda. No, ale nie wyszło – pod-sumowuje.

Wspomina, że wszyscy chcieli od niego usłyszeć, że ktoś go szy-

złom. Żebrał pod kościołem i na targu. – Mówiłem: daj mi pan 20 groszy na bułkę. A ludzie pytali: „Coś pan robił, że nie masz? Trzeba było pracować”. I co ja im miałem powiedzieć? To było dzia-łowanie, poniżenie. Pamiętam, że dzieci we mnie kamieniami rzuca-ły za to, że wchodzę w ich rewir zło-mu. Pod jednym kościołem chcieli mnie pobić. Różnego żebraczego chleba doświadczyłem – oddaje się wspomnieniom.

Pomysł, żeby zacząć grać, przy-szedł w czasie długich godzin cze-kania na datki. W czasach, gdy się uczył w liceum w Będzinie, każdy musiał mieć skrzypce. Przypo-mniał sobie, że parę ładnych lat te-mu kupił jedne na targu. Leżały

składki ZUS (przez pierwsze dwa lata są niższe i wynoszą 350 zł – od 2012 roku będzie musiał pla-cić ponad dwa razy więcej). Cho-ciaż ma koszty: musi kupować stru-ny, naprawiać rower i płacić za bilet miesięczny, na życie mu starcza. Ile zarabia? – Idzie wyżyć – powtarza.

Gdy jest ciepło, gra nawet po siedem, osiem godzin. Sam przyznaje, że nie jest wirtuozem. Jest wielu grajków, którzy są lep-si. – Czasem ludzie mnie proszą, błagają: „Niech pan nie nabija na kasę”. Ale ja nabijam. Bo ja muszę. Bo taki jest wymóg. Nie pro-się byliby pracować u ko-goś? Może i tak. Ale u kogo? Po-za tym mam taką naturę, że wolę czegoś spróbować, może się uda. Biorę swój los we własne ręce. I bardzo jestem z tego zado-wolony. Ktoś się wychylał, ktoś dostał po głowie za to, że my teraz możemy działać.

Ile emerytury? Nie pytałem

Ludzie w Katowicach go poja-rzą. Gdy idzie ze swoimi tobołka-mi, czasem zaczepi go jakiś tak-sówkarz i zagali, że zna go z telewi-zji. Ochroniarzowi w supermarke-cie, który też go widział w reporta-żu, może zostawić swoje walizy, gdy idzie do toalety. To pomaga.

Ile Tomczyk zarobi danego dnia, jest zawsze niewiadomą. – Jak mam, to daję, przynajmniej wiadomo, na co te pieniądze idą – mówi Bartek, student ochrony środowiska, który właśnie wrzucił do pomarańczowej puszkę datkę. – Widziałem takich, którzy wysia-dali z dobrego samochodu i szli na żeby. Ten pan zasługuje na szacunek, bo coś próbuje z tym zrobić, walczy. Chce doczekać do emerytury – tłumaczy chłopak.

Za trzy lata będzie mógł odejść na emeryturę. Na jaką kwotę mo-że liczyć? – O to jeszcze nie pyta-łem. Ale dużo nie dostanę, bo przecież wiele lat pracowałem ja-ko przywaczarz. I wcale nie jest pewne, że od razu gdy osiągnę wiek emerytalny, przestanę pra-cować. Granie mnie wciągnęło – uśmiecha się. – Z perspektywy czasu inaczej patrzę na wszystko. Jak jest jakiś żebrak na ulicy, to go nie pominę, zawsze coś mu wrzucę. Wiem, jak nagle wszystko może się wywrócić, jak łatwo fir-ma może pójść na dno. Ale prze-cież to nie było tak, żebym prze-pił, żebym przegrał. Po prostu koszty uzyskania przychodu go przewyższyły. ■



Władysław Tomczyk przed wyjściem do „pracy”

kanował: system, urząd skarbowy. – Nie, ja bym tak nie powiedział. Gdybym podchodził do biznesu bardziej ekonomicznie, może by się udało. Takie są realia rynku, to jest matematyka. Jest popyt, poda-ż... No i koniec. Przecież nie wezmę nikogo za rękaw i nie po-wiem: panie kupuj! – dodaje.

Granie jak sprzedawanie

Oszczędności i pieniądze ze sprzedaży samochodu wystar-czyły na odprawy dla pracowników i podatki. – Zamknąłem ten etap. Stwierdziłem, że nie ma co rozpaczać i poszedłem na bezro-bocie. Na początku jeszcze miałem zasilek – wspomina.

Był rok 2004. O pracę nie było łatwo, tym bardziej gdy się miało ponad 50 lat. Dla Tomczyka przy-szedł trudny czas. Zbierał puszkę,

w szopie, w futerale. Nawet nie po-pękały od mrozu. Poszedł do lutni-ka, który trochę je odświeżył, nawet pieniądze nie chciał. I z doskoku zaczął pogrywać. – Takie granie to też trochę dziadowanie, ale na in-nym szczeblu. Czulem, że jest kon-takt z ludźmi. To trochę jak sprę-dawanie. Nawet żebrak, którego znałem, podchodził do mnie i gra-tulował mi, że się wycofałem z po-przedniego interesu – konkurencja mu odpadła – tłumaczy grajek.

Pierwszego stycznia 2010 roku założył znowu działalność gospo-darczą. Powód? Brakowało mu przepracowanych lat do emerytu-ry. Księgowa stwierdziła, że musi mieć kasę fiskalną. Poszedł do prawnika. Ten potwierdził, że przepisy są bardzo nieostre. Wszystko zależy od inspektora skarbowego – jeśli będzie skrupu-latny, to może ukarać za jej brak.

Na razie Tomczykowi udaje się wiązać koniec z końcem, płaci